

MICHAEL PALMER

Szokujący thriller polityczno-medyczny autora „Krytycznej terapii”



PRZYSIĘGA

Prolog

Jestem skończony.

Nie mogę uwierzyć, że znów do tego doszło. Wściekłem się na pacjentkę. Kiedy poprzednio zrugąłem Calvina Summersa za to, że pali, mimo iż przeszedł rozległy zawał serca, na pół roku zawieszono mi prawo wykonywania zawodu i musiałem udać się na terapię. Rada lekarska orzekła, że takiego postępowania nie wolno usprawiedliwić bez względu na to, jak szlachetne pobudki mną powodowały.

Teraz zachowałem się podobnie w stosunku do Roberty Jennings. Wypadła z gabinetu niczym furia, wrzeszcząc na całe gardło, że nie zdierży takiego traktowania i natychmiast po powrocie do domu skieruje zawiadomienie do rady. Personel pomocniczy ją słyszał, słyszeli ją pacjenci w poczekalni.

Co ja teraz zrobię?

Jestem sam. Na ścianie wisi pięknie oprawiona przez Carolyn przysięga Hipokratesa z moim podpisem — przysięga zawodowa, w której ślubuję, że moim pacjentom będę okazywał serdeczność i współczucie.

Do jasnej cholery, co mi odbiło?

Opony samochodu pani Jennings zapiszczały na betonie, wyjechała pędem z parkingu. Wyobrażam sobie, jak siedzi za kółkiem z twarzą purpurową ze złości.

Drzwi są zamknięte. Nie mogę siedzieć tu jak baranek i czekać, aż zabiorą mnie na rzeź, bo nie popełniłem żadnej zbrodni. Kocham swoich pacjentów, ale nie ma najmniejszych szans na to, że rada lekarska okaże mi zrozumienie. Nikogo nie będzie obchodziło, że Roberta Jennings obżera się na śmierć.

Nadciśnienie, cukrzyca typu drugiego, obrzęk kostek, zylaki, reumatyzm, przepuklina rozworu przełykowego, podwyższone stężenie dwutlenku węgla we krwi...

Skąd mieliby wiedzieć, ile razy błagałem ją, żeby zmieniła tryb życia, ile rodzajów diety jej sugerowałem, ile polecałem książek, ile rozmów z nią odbyłem. Nie rozumieją, że miałem prawo ją skrzyczeć. Nie będzie ich obchodziło, że tego dnia pracowałem od wielu godzin, że przyjmowałem pacjentów w szpitalu, czego nie robią inni lekarze; że chodziłem na obchody, wypełniałem dokumenty. Nawet nie zdążyłem zjeść lunchu. Muszę coś zrobić, żeby ocalić siebie. Oraz swoją karierę.

Spoglądam na rodzinne zdjęcia stojące w rogu biurka. Najbardziej lubię to zrobione wiosną: Carolyn, ja i nasze trzy córki przytuleni na huśtawce na ganku. Dziewczynki, równie śliczne jak ich matka, mają kruczoczarne włosy. Niezbyt do mnie podobne, więc często mawiałem półżartem, że są dziećmi mleczarza. Drugie zdjęcie przedstawia Chloe, moją najmłodszą córeczkę. Mam świadomość, że nie należy faworyzować żadnego z dzieci, więc trochę mi z tym głupio.

Muszę podjąć jakieś działania.

Wszystko, na co z poświęceniem pracowałem, znalazło się w niebezpieczeństwie. Oddycham coraz płycej i szybciej, jakbym wciągał do ust melasę. Wiem doskonale, jakie procesy fizjologiczne zachodzą w moim organizmie. Sygnały chemiczne z jądra migdałowatego w mózgu każą sercu przyspieszyć rytm. Adrenalina jest uwalniana do krwiobiegu niczym paliwo rakietowe.

Świadkowie.

Wszyscy słyszeli, co zaszło. Zostaną wezwani przez radę, to będzie koniec. Baranek prowadzony na rzeź. Muszę coś zrobić, aby temu zapobiec. Nie pamiętam chwili, gdy otworzyłem kluczem szufladę w biurku i wyciągnąłem pistolet. Spoczywał w zamkniętym pudełku, do którego włożyłem go w zeszłym roku, gdy obrabowano gabinet Joego Perry'ego.

A teraz tkwi w mojej dłoni.

Odbezpieczam broń. Wszyscy pacjenci siedzący w poczekalni potwierdzą to, co słyszeli. To wystarczy, aby mnie pogrzyżyć. Nikomu nie zależy na moich pacjentach tak jak mnie.

Nie do wiary, że sprawy przybrały taki obrót... Co mi pozostało? Czy istnieje inny sposób ocalenia mojej kariery... oraz rodziny?

Oni słyszeli, to będzie ich słowo przeciwko mojemu. On powiedział tak, oni powiedzieli inaczej. Komisja nigdy nie cofnie lekarzowi prawa wykonywania zawodu na podstawie tak wątplych zarzutów, zwłaszcza lekarzowi oddanemu swoim pacjentom tak bardzo jak ja. Czy aby na pewno?

Muszę zrobić to, co należy.

Żadnych świadków.

Otwieram drzwi gabinetu i wychodzę na korytarz. Blask świetlówek razi mnie w oczy. Z pistoletem w opuszczonej

ręce ruszam ku niedawno umeblowanej poczekalni dla pacjentów. Czuję, jak moje serce uderza o mostek. Krew szumi w uszach, pomieszczenie zaczyna wirować przed oczami.

Szkoda, że nie ma innego sposobu.

W poczekalni siedzą Margaret Dempsey i Allison Roundtree. Obie są podenerwowane, zaniepokoiły je odgłosy dochodzące z mojego gabinetu. Może naradzały się, czy nie zmienić lekarza, czy nie przenieść swoich kart do kogoś innego; pewnie wybrałyby mojego kolegę Carla.

Drobinki kurzu wiszące w powietrzu migoczą w słońcu. To szczegóły, ale widzę je bardzo wyraźnie. Sprawdzam, czy w kieszeni mojego białego kitla są dwa dodatkowe naboje.

„Żadnych świadków!”, krzyczę.

Ashley siedzi za kontuarem recepcji, wygląda na zaniepokojoną. Za nią Crystal, nasza nowa pielęgniarka. Ashley ma trzydzieści lat. Dwoje dzieci. Okulary Ashley spoczywają na jej piersiach zawieszona na złotym sznureczku, który błyszczy na tle obcisłego czarnego swetra.

Drobiazgi.

Nie ma innego sposobu. Muszę chronić swoją karierę.

Przez chwilę ogarnia mnie niepewność, zagubienie... Potem postanowienie wraca. Muszę działać, zanim zauważą pistolet.

Unoszę broń.

Robię to dla nas, Carolyn. To jedyna droga, by ocalić dzieci, ciebie i nasze wspólne życie. Każdy lekarz, któremu groziłoby coś podobnego, postąpiłby identycznie. Pierwszy wystrzał rozbrzmiewa w moich uszach jak eksplozja. Siła odrzutu podrywa pistolet. Oddaję drugi, trzeci i czwarty strzał. Wszędzie widzę krew.

Szyba roztrzaskuje się na kawałki.

Ashley patrzy na mnie szeroko otwartymi oczyma.

Strzelam jej w czoło. Przewraca się do tyłu i upada na Crystal. Czuję teraz spokój, panuję nad sobą. Jestem lekarzem, zawsze nim będę. Prosiłem panią Jennings, żeby się odchudziła, miałem prawo ją zrugać. W gruncie rzeczy nawet nie krzychałem, tylko nieco podniosłem głos. Zdecydowanym krokiem idę korytarzem do naszej malutkiej kuchni. Są tam Teresa i Camille. Kiedy usłyszały wystrzał, na pewno zastanawiały się wspólnie, co ze mną począć. Teraz zrywają się na równe nogi i wrzeszczą wniebogłosy.

„Żadnych świadków! — krzyczę raz po raz. — Żadnych świadków!”

Kierowniczką poradni chce coś powiedzieć, ale nie rozumiem jej słów. Palec napręża się, rozluźnia, a potem znów napręża. Pistolet pluje ogniem. Teresa dostaje w gardło, Camille w pierś. Zwijają się niczym szmaciane lalki. Camille usiłuje wstać. Unieruchamia ją strzał w tył głowy. Wymieniam magazynek.

Prawie skończone.

Wracam do korytarza. Carl Franklin jest w swoim gabinecie. Być może nie słyszał zajścia z Robertą, ale mógł usłyszeć. Zaczniemy od tego, że nigdy nie był z niego dobry lekarz. Wpadnie w euforię na wieść, że odbiorą mi na zawsze prawo wykonywania zawodu, a on przejmie moich pacjentów.

Drzwi gabinetu otwierają się w chwili, gdy przed nimi stoję. Dzieli nas pół metra. Wyczuwam woń jego strachu, waham się przez chwilę. Nie potrafię ogarnąć wydarzeń. Moje myśli są rozbiegane. Będzie świadczył przed komisją czy nie?

„John, co, u diabła...?!” — krzyczy Carl.

Opróżniam cały magazynek, pakuję pociski w jego klatkę

piersiową i twarz. Krew tryska na mnie. Odpryski kości wbijają się w moją skórę. Chcę mu powiedzieć, że to wszystko wina Roberty Jennings, ale jest za późno. Osuwam się na ścianę, ciężko dysząc. Nigdy by mnie nie zrozumieli. Wcale ich nie obchodzi, jak wiele znaczyła dla mnie praca lekarza.

Nagle przerywam.

Boże drogi, zrobiłem coś potwornego. Teraz rada lekarska na pewno odbierze mi uprawnienia. Wszystko popsułem. Wkładam ostatni magazynek, a potem zamykam oczy i przyciskam lufę do skroni. Przywołuję obraz Chloe. Jej będzie mi brakowało najbardziej.

Wciąż nie mogąc pojąć, dlaczego sprawy potoczyły się tak szybko, naciskam spust.

Rozdział 1

Godzina minęła. Zostały jeszcze trzy.

Popołudnie układało się dla Lou pomyślnie. Do izby przyjęć pogotowia trafiało akurat tylu pacjentów, żeby Emily nie miała czasu na nudę, ale z lekkimi obrażeniami — ich widok nie przyprawi jej o senne koszmary i nerwice. Nic, z czym nastolatka by sobie nie poradziła. W końcu w izbie przyjęć pogotowia w centrum miasta, nawet tak małej jak Eisenhower Memorial Hospital Annex, miało się czasem do czynienia z ofiarami brutalnej przemocy.

— Pan Schultz to wzorowy pacjent, Emily. Dziesięć szwów i gotowe. Jeszcze dwa, a później bandażujemy go i wysyłamy do domu.

— Dzięki, doktorze — wycedził mężczyzna leżący pod lampą w kształcie spodka. Jego głos był szorstki jak kamień. — Nic nie poczułem. Twój tata to świetny lekarz, panienko.

— Dziękuję, wiem — odparła Emily. — Lubi cerować mi dżinsy, kiedy się podrażnią. Zawsze z ochotą zaszywał moje pluszaki, nawet kiedy nie były rozprute.

— Szkoła mojego syna też włączyła się do akcji Zabierz

Swoje Dziecko do Pracy — oznajmił Schultz — ale ja jestem dekarzem. Dach czteropiętrowego budynku, na którym hula wiatr, to nie najlepsze miejsce dla dziewięciolatka, więc żona zabrała ze sobą Marky'ego do domu opieki i pomagał jej zbierać naczynia. A czym zajmuje się twoja mama, panienko?

— Nazywam się Emily, proszę pana, Emily Welcome — przypomniała mu. — Moja mama jest psychologiem, przeważnie udziela porad małżeńskich. Stwierdziła, że pacjenci nie byliby zachwyceni, gdyby trzynastolatka asystowała przy ich sesjach.

— Chyba wiem, co miała na myśli.

— Ale gdyby mama mogła wybierać — wtrącił Lou, zaciągając ostatni szew — raczej wysłałaby Emily z panem na dach niż tutaj.

Właśnie o to pokłócili się z Renee pierwszy raz od miesiący. Uważała, że przepisy powinny zabraniać przyprowadzania krewnych lekarza do izby przyjęć. Nawet jeśli pracują w niej tylko trzy pielęgniarki, dyplomowany sanitariusz, uzbrojony ochroniarz, recepcjonistka, stażysta oraz dyplomowany specjalista od ciężkich przypadków. Izba stanowiła bowiem placówkę dodatkową, która miała odciążać pogotowie ogromnego szpitala znajdującego się sześć ulic dalej.

— Niech pójdzie ze Steve'em do biura — prosiła Renee.

— Steve nie jest jej ojcem. Ja nim jestem. Poza tym co to dla niej za atrakcja przesiadywać w towarzystwie gości w wykrochmalonych koszulach, wśród zakurzonych podręczników prawniczych? Już słyszę, jak opowiada przed klasą: „Przez cały dzień towarzyszyłam Steve'owi, który jest nowym mężem mamy. Obserwowałam, jak zgarnia grubą forszę od frajerów, którzy pozwalają do sądu innych frajerów”.

Mogłabyś także posłać ją do biura mojego brata. Graham zarabia jeszcze więcej niż Steve. Poza tym wreszcie miałby ze mną o czym pogadać i nie wyrzucałby mi, że do tej pory nie załatwiłem sobie nieopodatkowanej składki emerytalnej.

Lou wygrał tę rundę, ale jak zwykle musiał przyznać Renee część racji; powiedział jej to i przeprosił, że zachował się idiotycznie. Z jakiegoś powodu uważał się nad sobą tego dnia, kiedy upływał termin odsyłania formularzy do szkoły. Miał pewne obawy, że Emily ujrzy brzydkie oblicze izby przyjęć, lecz mimo to postanowił uczynić ze szkolnej akcji pole bitwy.

Zostało jeszcze dwie i pół godziny.

Na razie wszystko szło jak z płatka.

Pacjenci napływali nieprzerwanym strumieniem, lecz uraz Gerharda Schultza nie był groźny. Lou tęsknił za prawdziwymi wyzwaniem w głównym ośrodku pogotowia, lecz w poprzedniej rundzie swojego życia zawodowego zdążył już nazbierać tam tyle punktów, ile zgarniają mistrzowie gier komputerowych. Teraz wystarczało mu pół etatu w mniejszej izbie przyjęć.

Zgodnie z oczekiwaniami pacjenci i personel zakochali się w Emily. Ta dziewczynka o ciemnej karnacji wdziękiem i grzecznością zjednywała sobie ludzi tak samo jak bezpretensjonalną urodą. Trzynastolatka, która zachowuje się jak trzydziestolatka. Wszyscy chętnie mówią, jak dojrzałe są ich dzieci, zwłaszcza córki. W jej przypadku była to prawda, lecz na myśl o tym Lou odczuwał ból. Nietrudno było dojść do wniosku, że to właśnie za jego sprawą córka tak wydożała — ukradł jej część dzieciństwa.

— No dobrze, panie Schultz — rzekł Lou. — Za kilka minut pielęgniarka opatry panu rękę. Do przyszłego poniedziałku ma pan wolne od pracy. Jeśli potrzebuje pan

zwolnienia, pielęgniarka wystawi je panu, a ja podpiszę. Kiedy ostatnio robiono panu zastrzyk przeciwțycowy?

— Rok temu... czy jakoś tak. Wpadłem na jakieś ostre przedmioty...

— Ostre i zardzewiałe przedmioty — uściślił Lou.

— Założymy panu specjalny opatrunek.

— Twój tata to równy gość — pochwalił dekarz.

— Widziałem wielu doktorów, więc wiem.

— A ja widziałam wielu ojców, więc też wiem

— podchwyciła Emily.

Lou wcale by się nie zdziwił, gdyby jej uśmiech sprawił, że rana pacjenta zagoiła się na miejscu. Oraz uleczył wszystkie dolegliwości, na które się uskarżał.

Wyglądała wspaniale w błękitnym kitlu. Ramię w ramię z ojcem ruszyła w kierunku gabinetu.

— Fajnie było — powiedziała, kiedy posadził ją na kanapie i podał kubek gorącej czekolady z ekspresu.

— Myślisz, że mogłabyś być lekarką? — spytał Lou. Pamiętał, że on w wieku czterech lat odpowiedziałby twierdząco na to pytanie, gdyby mu je zadano.

— Wszystko możliwe, tak myślę. Ty i mama dajecie dobry przykład.

— Świetna z niej psycholog.

— Trudno ci z tym, prawda?

— Z czym? — odpowiedział pytaniem, doskonale wiedząc, co córka ma na myśli.

— Z rozwodem.

— Ja go nie chciałem, jeśli o to pytasz.

— Rozwodnicy czasem się schodzą. W telewizji stale się to widzi.

— Mama wyszła za mąż. Dotarło to do ciebie, młoda?

Gdybym jeszcze ja przyłączył się do tego układu, wyszłaby komedia na miarę *Współczesnej rodziny*.

Dziewczynka zagryzła wargę.

— Cieszę się, że wygrałeś potyczkę z mamą i przyprowadziłeś mnie tutaj.

— Niczego nie wygrałem. To jest szkolna akcja dla dzieci i rodziców, a ty jesteś moją córką. Zawsze nią byłaś i zawsze będziesz.

Lou podszedł do drzwi i spojrzał na dwoje nowych pacjentów, którzy zjawili się w izbie przyjęć. Kobieta wyglądała na Latynoskę, a bardzo stary mężczyzna przypuszczalnie był jej ojcem. Był błydy i z wielkim trudem łapał oddech.

— Zmierz mu saturację — polecił Lou pielęgniarce.
— Niech Gordon od razu zrobi mu ogólne badanie.

— Dzięki. Cieszę się, że tak to odbierasz — odezwała się Emily. — A gdybym ci powiedziała, że szkoła przestała mnie interesować?

Lou omal nie rozlał kawy.

— Jesteś, zdaje się, najlepsza w klasie. Masz same szóstki.

— Wyglądam przez okno i bujam w obłokach. To chyba nie jest edukacja.

— Do szkoły nie chodzi się, żeby zdobyć edukację.

Emily od razu się ożywiła.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Możesz to nazwać prawem Welcome'a. Do szkoły chodzi się po to, aby dostać świadectwo. Jeśli przy okazji czegoś się nauczysz, to jest to rodzaj premii.

W oczach dziewczynki błysnęły iskry.

— Słucham, słucham.

— Każdy dzień spędzony w szkole przekłada się na to, że

w dalszym życiu będzie ci rozkazywać o dziesięć tysięcy typów mniej. Im więcej masz dyplomów, tym mniej małostkowych, tępych drani będzie miało do powiedzenia więcej niż ty. Ja uczyłem się wystarczająco długo, żeby zostać lekarzem, i teraz nikt mną nie pomiata.

— A doktor Filstrup z Ośrodka Opieki dla Lekarzy?

Lou jęknął. Jeśli chodzi o przenikliwość i pojedynki słowne, Emily była nieodrodną córką swojej matki.

Prawo Welcome'a diabli wzięli.

Kontakt Lou z biurem zaczął się przed dziewięcioma laty, gdy zawieszono mu prawo wykonywania zawodu za to, że wystawił sobie receptę na amfetaminę. Zawsze pił więcej niż przeciętny mężczyzna, lecz amfa, którą przyjmował, żeby poradzić sobie z brakiem snu spowodowanym odwalaniem dwóch fuch, błyskawicznie rzuciła go na kolana. Wtedy do akcji wkroczył Ośrodek Opieki dla Lekarzy, instytucja powołana do udzielania pomocy lekarzom dotkniętym chorobami psychicznymi i innymi, nadużywającym szkodliwych substancji oraz mającym problemy natury emocjonalnej. Dyrektor biura niezwłocznie skierował go na terapię w ośrodku leczenia uzależnień w Georgii i pozostawał w kontakcie z terapeutami opiekującymi się Lou aż do jego zwolnienia pół roku później. Następnie kurator lekarz spotykał się z nim co tydzień, a potem co miesiąc; nadzorował jego powrót do zdrowia, przeglądał wyniki badań moczu na obecność alkoholu i narkotyków. Po upływie roku, w czasie którego Lou prowadził się nienagannie, przywrócono mu prawo wykonywania zawodu i znów mógł pracować w szpitalu Eisenhower Memorial. Trzy lata później otrzymał także posadę drugiego kuratora w Ośrodku Opieki dla Lekarzy. Przez rok wszystko toczyło się doskonale. I wtedy rada

ośrodka zatrudniła Waltera Filstrupa na stanowisku kierownika programu.

— Wiesz co, młoda? — powiedział Lou. — Czasami bywasz aż za mądra.

Rzadko dzielił się z córką swoimi problemami zawodowymi, jednak nie należał do tych, którzy ważą każde słowo. Ona zaś chłoneła wszystko niczym gąbka.

— No więc dobrze. Powiedzmy, że moje obecne perypetie z biurem to wyjątek, który potwierdza regułę. A teraz chodźmy badać dalej pacjentów. Może byś jednak nie rzucała szkoły?

Emily z namysłem przechyliła głowę.

— Przez jakiś czas.

— O więcej nie śmiem prosić. Ale nie marudźmy już. W pogotowiu nigdy nie wiadomo, kiedy coś wyskoczy z nienacka i zwali cię z nóg.

Rozdział 2

Dyżurny zajął się staruszką w gabinecie na tyłach, Lou zaś z pomocą pielęgniarki i jej asystentki zbadał niemowlaka z infekcją ucha oraz starszą panią z wirusowym zapaleniem górnych dróg oddechowych, a także piętnastoletniego licealistę ze złamanym palcem. Chłopak nie wiedział o tym, że grozi mu utrata całej ręki, jeśli dalej będzie gapił się pożądliwie na córkę lekarza.

Została godzina.

Można było powiedzieć, że wszystko ułożyło się szczęśliwie mimo niefortunnego początku. Zdaniem Lou i jego córki akcja Zabierz Dziecko do Pracy zakończyła się całkowitym sukcesem.

Pielęgniarka Barbara Waldman, która niedawno wyszła za mąż, pojawiła się w drzwiach z fotelem na kółkach. Siedział na nim sześćdziesięciodwulatek pomieszkujący w bramach pobliskich budynków, dobrze znany Lou.

— Desmond! — zawołał Lou, pomagając pacjentowi usiąść na stole do badań i zdjąć kurtkę. — To znowu ta banda?

Desmond Carter skinął głową, przykładając sobie chusteczkę do zakrwawionego nosa.

Większość okolicznych bezdomnych zdążyła już przywyknąć do tego, że są bici dla zabawy przez bandy włóczące się po dzielnicy. Zwykle jednak napaści zdarzały się w nocy. Desmond, choć czarnoskóry, słynął w okolicy z tego, że wygrywa na sfatygowanej piszczałce irlandzkie melodie ludowe. Kiedy zarobki z muzykowania były małe, sprzedawał butelki. Weteran wojny wietnamskiej był chudy jak szczapa, lecz jego oczy nie zdradzały, że ma za sobą ciężkie życie. Dzisiaj twarz miał spuchniętą i posiniaczoną; poza tym rozciętą wargę i zakrwawiony nos. Przez dziury na kolanach brudnych spodni widać było głębokie zadrapania. Brakowało mu jednego buta.

— Miło pana widzieć, doktorze Lou — odezwał się Desmond.

— Przykro mi, że pana to spotyka, przyjacielu. Wezwać policję?

— Nie warto. Wystarczy zabandażować i doprowadzić nos do porządku, jeśli jest złamany. Co u pana słyhać?

— Wszystko dobrze.

— Nadal chodzi pan do klubu?

— Kiedy mam czas. Mały sparring, czasem potrenuję z jakimś nowicjuszem, jeśli ma ochotę. Proszę posłuchać, musimy pana rozebrać i obmyć. Potem pana zbadamy, prześwietlimy nos i inne części ciała, jeżeli zajdzie potrzeba. Desmondzie, ta śliczna młoda dama to moja córka Emily. Pomaga nam dzisiaj.

— Panno Emily — rzekł Desmond, kiwając głową i uśmiechając się bezzębnymi ustami. — Nie będzie mi przeszkadzało, jeśli chcesz zostać.

Lou rozważył to i pokręcił głową.

— Taak — odezwała się Emily. — A ty ciągle paradujesz po mieszkaniu w samych bokserkach.

Gdyby Barbara Waldman żuła gumę, niechybnie by ją połknęła.

— Mała nieźle daje panu w kość, doktorze — wykrztusiła.

— To kiepski pomysł, Emily — oznajmił Lou. — Może poczekaś w korytarzu, aż opatrzymy Desmonda?

Nie zauważył, jak rzuciła mu mordercze spojrzenie, wychodząc z sali.

Z pomocą pielęgniarki delikatnie rozebrał weterana i pomógł mu włożyć jednorazowe cienkie spodnie i koszulę. Desmonda obito, ale nie po raz pierwszy. Blizny na jego brzuchu układały się w istną mapę drogową; Lou wiedział, że to ślady po ranach, za które jego pacjent został dwukrotnie odznaczony Orderem Purpurowego Serca.

Lekarz zacisnął zęby. Dawka przemocy i deprawacji, z którą miał już do czynienia, powinna go znieczulić, ale wiedział, że nigdy całkowicie się nie uodporni. Zwłaszcza gdy ofiarą padał ktoś taki jak Desmond Carter.

Przygotowywał się do zbadania pacjenta, gdy od drzwi dobiegło ciche chrząknięcie. Emily stała z rękami na biodrach; w tej pozie nieprawdopodobnie przypominała matkę.

— Tato, przecież wiesz, że nie znoszę, kiedy traktujesz mnie jak dziecko — oznajmiła. — Widywałam już bezdomnych, czarnoskórych, a nawet rannych. Nic mi się nie stanie, kiedy będę patrzyła, daję słowo. Przed niczym nie musisz mnie ochraniać.

Lou spoglądał na sufit i na ścianę, byle tylko nie patrzeć na uroczą buzię córki. Prześcignęła go w dniu, w którym się urodziła. Poza tym kontakt z Desmondem Carterem nie mógł

jej w żaden sposób zaszkodzić. Mimo to powinien omówić tę kwestię z Renee. Już widział, jak była żona stoi ze skrzyżowanymi rękami, przytupuje nogą i przypomina mu, że ona także ma telefon komórkowy.

Lepiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie, zdecydował.

— Barbaro, czy Desmond miał robione badanie na HIV?

— Tutaj, cztery miesiące temu, wynik ujemny — odparła pielęgniarka.

— Możesz wejść, Emily. — Usłyszał swoje słowa, jakby wypowiedział je ktoś inny. — Ale stań tam, przy ścianie. Barbaro, może daj jej podwójne rękawiczki i fartuch. Maską na twarz też by nie zaszkodziła.

Dziewczynka podpłynęła, wyglądając niczym przybysz z innej planety. Zbliżyła się powoli i obserwowała, jak Lou opatruje nozdrza Desmonda; komentował każdy ruch jak w czasie egzaminu dyplomowego. Na widok blizn oczy Emily otworzyły się szeroko.

— Jest pan pewien, że mam nie wzywać policji? — zapytał Lou.

— Może następnym razem. Mam kuratorkę z opieki społecznej, powiem jej.

Akurat.

— Barbaro — rzekł Lou, odwracając się do pielęgniarki. — Zamówmy zdjęcie klatki piersiowej i kości nosa, dobrze? Może jeszcze pełne badanie krwi. A potem zrobimy, co w naszej mocy, żeby zreperować ten nochal.

— Jasne. Po drodze wpadnę do Gordona i Roz, zobaczę, czy radzą sobie z tym biednym staruszką. Myślę, że przeniosą go do drugiej centrali.

— W porządku — odparł Lou.

Po chwili w drzwiach pojawiła się recepcjonistka.

— Panie doktorze, dzwoni doktor Filstrup, mówi, że to pilne.

Lou powstrzymał uśmiech.

Pilny telefon od Waltera Filstrupa, pomyślał. To chyba nigdy się nie zdarzyło. Pewnie chce, żebyśmy w drodze do domu kupił rybę na kolację i podrzucił mu do biura.

Dzięki udokumentowanemu powrotowi do zdrowia i dobrym relacjom z pacjentami Lou zasłużył sobie na wysoką ocenę kierownictwa Ośrodka Opieki dla Lekarzy. Jednak nie był jeszcze gotowy na to, by objąć stanowisko dyrektora. Prawdę mówiąc, oprócz Filstrupa niewielu było chętnych na tę posadę.

Od samego początku on i Filstrup zachowywali się jak kobra i mangusta, a raczej jak kobra i kurczak. Ośrodek Opieki nad Lekarzami był stosunkowo niewielki, więc napuszony i apodyktyczny terapeuta miał niewielu podwładnych, którymi mógł komenderować... Lou był pierwszym na podorędziu.

— Barbara zaraz wróci, Emily. Lindo, przełącz doktora Filstrupa do gabinetu lekarskiego, tam z nim pomówię.

Telefon dzwonił, kiedy Lou wszedł do pomieszczenia.

— Welcome? To ja.

Lou lekko się wzdrygnął na dźwięk głosu szefa.

— Jestem zajęty...

— Posłuchaj, Welcome. Tym razem naprawdę dałeś plamę.

— Zostawiłem podniesioną klapę w toalecie?

— To nie jest zabawne. Ty nigdy nie jesteś zabawny.

— Walter, o co właściwie chodzi?

— O twojego ulubionego pacjenta Johna Meachama, któremu głównie za twoim wstawiennictwem przywrócono uprawnienia.

— Wspaniały gość i świetny lekarz, przedwczoraj wypilem z nim kawę. Doskonale sobie radzi.

— Dzisiaj zabił siedem osób w swojej przychodni, a potem palnął sobie w łeb.

Lou osunął się na podłokietnik skórzanej sofy; nie mógł złapać tchu.

— Jeśli mnie wkręcasz, Walterze — wykrztusił po chwili — to przysięgam, że rozerwę cię na strzępy.

— Włącz telewizor na dowolnym programie.

— Czy to na pewno nasz pacjent?

— Twój pacjent. Gwoli ścisłości, ja nigdy nie uważałem, że jest pozbierany, i niejeden raz ci o tym mówiłem. Namawiałem, żeby pozbyć się tej subtelnej terapeutki z opieki społecznej, którą popierałeś, i posłać go do psychiatry. Ale nie.

— Przestań, Walterze! Nie czas na to. Powtórz to, co powiedziałaś. John zabił siedem osób w swojej przychodni, a potem się zastrzelił?

— Niezupełnie. Tamci nie żyją, a on tak.

— Dokąd go zabrali?

— Do DeLand Regional.

— Jak tylko mnie tutaj zluzują, pojedę tam. Nie mogę w to wszystko uwierzyć.

— No to uwierz. Powiem ci coś jeszcze. Do tej pory mogłeś liczyć na przychylność wielu członków rady, ale teraz możesz o tym zapomnieć.

Nie chcąc pogarszać i tak już tragicznej sytuacji, Lou odłożył słuchawkę. Jak odrętwiały wyszedł na korytarz i skierował się do gabinetu zabiegowego, gdzie była Emily. Dziwił się, że zdołał utrzymać się na nogach. W drzwiach sali w surowej pozie, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, stała Renee. Jej wspaniały profil był niczym wykuty

z marmuru.

Lou podszedł do niej. Barbara Waldman jeszcze nie wróciła i Emily przebywała w pomieszczeniu sama z Desmondem Carterem. Podeszła do łóżka i trzymała rannego za rękę.

Zniesmaczony wyraz twarzy Renee zasługiwał na uwiecznienie jako jedno ze szczytowych osiągnięć akcji *Zabierz Dziecko do Pracy*.

Nagle Emily odwróciła głowę.

— Mamo! — zawołała z niepohamowaną radością.
— Wiesz co? Postanowiłam zostać lekarką.